

Przemysław Piętaś: Długi marsz konserwatystów

Polska nie potrzebuje dziś tylko konserwatywnych polityków, ale konserwatywnych menedżerów, konserwatywnych specjalistów, konserwatywnych nauczycieli, konserwatywnych ojców



Polska nie potrzebuje dziś tylko konserwatywnych polityków, ale konserwatywnych menedżerów, konserwatywnych specjalistów, konserwatywnych nauczycieli, konserwatywnych ojców

Najnowszy numer kwartalnika „Rzeczy Wspólne” otwiera znakomity esej Bartłomieja Radziejewskiego poświęcony problematyce wolności i jej braku. Autor w przekonującym, logicznie skonstruowanym, erudycyjnym wywodzie udowadnia, że wolność w liberalnym wydaniu jest w rzeczywistości niewolą, nie mającą nic wspólnego z klasycznym rozumieniem wolności. Nie dziwi zatem, że tekst redaktora naczelnego „Rzeczy Wspólnych” kończy się płomiennym apelem. „Punktem docelowym musi być całościowa przebudowa ładu politycznego, poczynając od edukacyjnej kontrrewolucji, a na konstrukcji wolnościowego, nieliberalnego ustroju skończywszy”. Teksty pisane w podobnym tonie – przekonująco punktuje wady obecnego systemu zarówno w skali kraju, jak i pogłębione o analizę braków ustrojowych Europy i całego zachodniego świata, bez trudu znajdziemy również w innych, prawicowych, konserwatywnych czy republikańskich wydawnictwach. Jak celnie zauważa Agnieszka Rybak w artykule „Zbyt wielu Napoleonów” („Plus Minus”, 24-25 marca 2012), „Środowiska prawicowe mają swoje specjalizacje. Rebelya i „Fronda” są od walki cywilizacyjnej, „Christianitas” drąży sprawy liturgii, ruchy pro life walczą z cywilizacją śmierci, „Teologia Polityczna” specjalizuje się w teorii rządzenia, krakowskie „Pressje” prowadzą działalność ekspercką i szereg krajowych i zagranicznych programów dla studentów”.

Pomimo różnic w „specjalizacjach”, wszystkie wymienione ośrodki mają wiele cech wspólnych. Łączy je ideologiczna żarliwość, mniejsza lub większa identyfikacja z wartościami wyznawanymi przez chrześcijaństwo, wysoki intelektualny poziom znacznie przewyższający to, co możemy przeczytać w jakimkolwiek mainstreamowym piśmie, oraz powszechna krytyka i opór wobec liberalnego – lewicowego świata. A także, jak sądzę, nieświadomość tego, że – przynajmniej w krótkiej, czysto politycznej perspektywie - walczą o przegraną sprawę.

Już Kopernik przekonująco udowadniał, że gorszy pieniądz wypiera lepszy, co współcześnie przekłada się na popularne stwierdzenie, że świat schodzi na psy. Nie tylko w Polsce, ale w całym świecie mamy do czynienia z postępującą erozją społeczeństw, zwłaszcza w sferach moralności i kultury. Mówiąc w skrócie – każde kolejne pokolenie jest głupsze od poprzedniego. Pomimo coraz większej sprawności w używaniu coraz bardziej zaawansowanych narzędzi komunikacyjnych, narzędzia te służą raczej do masowego nurzania się w coraz bardziej prymitywnej rozrywce niż do tworzenia jakichkolwiek głębszych wspólnot czy więzi międzyludzkich. Facebook ogłupia nas tak samo (a może jeszcze bardziej), jak przed kilkoma dekadami video, a przedtem telewizja. Telewizja zresztą ogłupia nadal, czego najlepszym przykładem jest przeciętny profil intelektualny widza najpopularniejszej polskiej prywatnej stacji telewizyjnej. Tzw. kultura masowa to masowe równanie w dół, i nic nie wskazuje na to, aby ten proces miał ulec odwróceniu w jakiegokolwiek przewidywalnej przyszłości.

Nurzające się w bezmyślnej konsumpcji i prostackiej rozrywce masy uciekają i będą uciekać coraz częściej w skupiony wyłącznie na własnej egoistycznej przyjemności indywidualizm, co nie sprzyja budowaniu nie tylko trwałej, ale jakiegokolwiek wspólnoty państwowej. Społeczeństwo obywatelskie jest i pozostanie mitem. Jeżeli Polacy angażują się w politykę, to wyłącznie jako widzowie lub uczestnicy żenujących partyjnych sporów, przypominających raczej zawody w obrzucaniu się łajnem niż prawdziwą politykę rozumianą troską o dobro wspólne. Jak słusznie zauważył dr Marek Cichocki podczas niedawnej audycji w radiowej Trójce, wspólnota państwowa rozpada się wtedy, kiedy członkowie tej wspólnoty nie chcą już być ze sobą razem. W tym znaczeniu wspólnoty państwowej, państwa polskiego,

rozumianego jako wspólnotę obywateli połączonych wspólnymi celami i powszechną zgodą co do wspólnego dla całego państwa wartości – takiego państwa już dawno nie ma. I można dyskutować o tym, czy kiedykolwiek tak naprawdę istniało.

Nawet wolności nie udało nam się odzyskać, jeżeli poważnie przyjąć tezę – logicznie uzasadnianą przecież przez sporą część prawicowych środowisk – że przełom roku 1989 nie był żadnym zwycięstwem Solidarności nad komunistami, a wyłącznie starannie wyreżyserowaniem przepoczwarceniem fasadowego socjalizmu w fasadową demokrację. Nie wywalczoną przez łaknących wolności i suwerenności obywateli, ale zaprojektowaną i opakowaną w zgrabny mit stworzony na użytek tych, którzy mieli uwierzyć w słowa aktorki recytującej w Dzienniku Telewizyjnym słynną frazę o tym, że oto „skończył się w Polsce komunizm”. I jeżeli od 23 lat żyjemy po prostu w kolejnej mutacji tego samego systemu, którą zawdzięczamy nie Wałęsie, ale co najwyżej Gorbaczowowi, to logiczną konstatacją tego faktu jest przyznanie, że nie było żadnego zwycięstwa, niczego, co dawałoby nam jako narodowi, jako społeczeństwu prawa do zbiorowej dumy. Jeżeli założycielski mit III RP jest tylko i wyłącznie mitem, to nie ma sensu świętować kolejnych rocznic grudnia 1970, sierpnia 1980 czy czerwca 1989. To nie żadne kamienie milowe, które doprowadziły nas do upragnionej wolności, ale wyłącznie epizody, krótkotrwałe wyrwy w nieprzerwanie trwającym, chociaż zmieniającym się systemie. A jeżeli konsekwentnie przyjmujemy tezę o okrągłostołowej zdradzie elit i naznaczonym kłamstwem początkach „transformacji” musimy jednocześnie uznać, że ostatni raz Polska odzyskała niepodległość w 1918, straciła ją w 1939 roku i nigdy jej na dobre nie odzyskała. Zgodnie ze współczesną prawicową historiozofią, od 73 lat Polska tkwi w niewoli, chociaż w tym czasie przestano bić więźniów, kraty zastąpiono pancerną szybą, trochę zamieciono podłogę, a do celi wstawiono

telewizor. I właśnie to odświeżenie celi miliony Polaków uznało za wolność, a może nawet uwierzyło, że w tych warunkach można całkowicie przyzwoicie żyć. Jeżeli jednak uznamy, że od 73 lat nie udało się nam tak naprawdę wygrać niczego, to naprawdę nie ma żadnego racjonalnego powodu aby wierzyć, że tym razem się uda.

Jeżeli zatem właśnie na takim, a nie innym gruncie, z takim, a nie innym społeczeństwem, z taką, a nie inną historią, konserwatywni, republikańscy, prawicowi publicyści będą próbowali zasiać ziarno wiary w „całościową przemianę ładu politycznego”, ta wiara pozostanie jedynie utopią, jeżeli jednocześnie będzie towarzyszyła jej nadzieja na to, że ta „całościowa przemiana” może nastąpić wkrótce – wystarczy tylko wygrać następne wybory. Można bowiem odnieść czasem wrażenie, że dla części prawicowych publicystów i intelektualistów, ucieczka w świat konserwatywnych idei jest tylko sposobem na chwilowe przeczekanie czasu politycznej smuty, arką, w której będzie dotrwać do czasów, w którym prawica wreszcie przejmie władzę. Zbudowani własną wizją nieuchronności przyszłego zwycięstwa, budują niezmiernie spójne, intelektualnie bez zarzutu, wyrafinowane konstrukcje idealnego ustroju. Może nawet oczami wyobraźni widzą siebie w przyszłych rządach z konserwatywnych i republikańskich snów. Piszą piękne konstytucje dla przyszłego, wymarzonego kraju, po to tylko, by w końcu – ten czas nieuchronnie nadejdzie – uświadomić sobie, że im piękniejsza utopia, tym bardziej gorzka rzeczywistość.

Tymczasem, polityczny realizm nakazuje raczej przyznać, że przewidywalnej przyszłości innej Polski nie będzie. A jeżeli się zmieni, to na gorsze. Jeżeli obecną władzę zastąpi w końcu ktoś inny, to zdecyduje o tym system, a nie obywatele – tak jak decydował o tym w 1944, 1956, 1970, 1980, 1989 i 2007 roku. Jeżeli system zdecyduje się w

końcu wymienić Tuska, to raczej na kogoś pokroju Janusza Palikota – media w tym kraju mogą zrobić premierem każdego, kogo zechcą. PiS ani żadna inna partia prawicowa nie w przewidywalnej przyszłości nie wygra w Polsce żadnych wyborów, a nawet jeżeli nawet jakimś cudem wygra, to i tak będzie to tylko krótkotrwały epizod, mała luka w systemie, tak jak zaledwie epizodem były rząd Prawa i Sprawiedliwości w latach 2005-2007. Dopóki o wyniku kolejnych wyborów będą decydowały łatwo sterowalne masy (a to się nie zmieni przez kolejne pokolenia), dopóty Polska marzeń redaktorów „Rzeczy Wspólnych”, „Teologii Politycznej”, „Frondy” czy „Arcanów” pozostanie jedynie Polską marzeń. Pięknym, szlachetnym, ale niemożliwym do realizacji intelektualnym konstruktem.

W sferze czysto politycznej, marzenie o przejęciu (i trwałym utrzymaniu) władzy przez prawicę w Polsce jest na razie utopią. Możemy i powinniśmy o niej marzyć chociażby po to, aby jej wizję przeciwstawić parszywej rzeczywistości, ale nie miejmy złudzeń, że sama ta wizja może cokolwiek w tej rzeczywistości zmienić. Artykuły w gazetach nie obalają złych rządów. Dyskusje dobrze robią na intelekt, ale nie wygrywa się przez nie wyborów. Zabawa w drugi obieg może być pożytecznym sposobem na spędzanie wolnego czasu, ale system przez nią nie upadnie. Nie będzie konserwatywnej rewolucji nie tylko dlatego że historia pokazuje, że rewolucji też nie potrafimy robić, ale dlatego, że większość Polaków żadnej rewolucji nie oczekuje. Naiwnością byłoby wierzyć, że naród polski pierwszej połowy XXI wieku, z natury konserwatywny, marzy tylko o tym aby wyzwolić się z opresji liberalnego, czy pseudo-liberalnego okupanta. Prawica nie wygra w Polsce następnych i kolejnych wyborów między innymi dlatego, że naród nam się zeuropeizował, w najgorszym tego słowa znaczeniu.

A jednak, właśnie pomimo tego że w przewidywalnej przyszłości obóz konserwatywny nie ma realnych szans na przejęcie politycznej władzy w Polsce, wydawanie „*tołstych żurnali*” ma głęboki sens. Ale nie jako intelektualna przybudówka dla żadnej z istniejących partii, nie jako think-tank PiS-u lub innego ugrupowania, nie jako kuźnia kadr dla przyszłych konserwatywnych rządów, ale przede wszystkim jako środowiska, których zadaniem jest „meblować głowy obecnych i przyszłych elit”, jak ujął to Paweł Rojek w opublikowanym niedawno w „Rzeczpospolitej” tekście „Jeże i lisy”.

Środowiska konserwatywne, z pozoru rozproszone i różniące się w swoich publikacjach co do akcentów i źródeł inspiracji, mają ogromną wartość przypominaniu o znaczeniu idei właśnie zwłaszcza w rzeczywistości w której, jak może się wydawać, idee straciły znaczenie. I właśnie przez to, że ich cel nie jest stricte polityczny, że ich perspektywą działania nie są tylko obecne rządy i kolejne wybory, mają szansę i zadanie dotrzeć do szerszego grona odbiorców niż tylko wąsko pojęta przestrzeń polityczna. Polska nie potrzebuje bowiem dziś tylko konserwatywnych polityków, ale konserwatywnych menedżerów, konserwatywnych specjalistów, konserwatywnych nauczycieli, konserwatywnych ojców. Intelektualna i duchowa formacja przyszłych elit nie powinna być „targetowana” tylko na tych, którzy w przyszłości mają szansę zasiąść w poselskich ławach czy na ministerialnych stołkach. I dlatego warto czytać „Teologię Polityczną”, „Rzeczy Wspólne”, „44 / Czterdzieści i Cztery”, „Pressje” czy „Arcana”. Nie po to, by odzyskać władzę, ale po to, by odzyskać umysły.

W jednym z wydań dwumiesięcznika „Arcana”, Tomasz Gabiś przypominał sylwetkę Gerda-Klausa Kaltenbrunnera, austriackiego filozofa i publicysty. Kaltenbrunner "apelował do konserwatystów, aby - jeśli chcą odnieść sukces - ciągle na nowo wykuwali swoją intelektualną broń i duchowy rynsztunek, stale odnawiali język polityczny, poszukiwali nowych sposobów uprawomocnienia swoich postulatów. Powinni nie tylko właściwie rozpoznawać wrogów i rozkładać ich ideologie na czynniki pierwsze, lecz również krytycznie przyglądać się własnym tradycjom ideowym, przeprowadzać selekcję tego, co odziedziczyli, pozbywając się tego, co jałowe i anachroniczne." "Powołaniem konserwatysty nie jest proste podtrzymywanie kruchych pozostałości porządków, które odeszły w przeszłość, ale wnoszenie twórczego wkładu do budowy nowego porządku, nie podlegającego autodestrukcji, lecz będącego sojusznikiem życia. Konserwatysta dochowuje wierności temu, co przetrwało historyczne katastrofy i bez paniki znosi to, co nowe, odrzuca ideę postępu, ale nie odrzuca - bo byłoby to daremne i bezsensowne - zasady zmienności świata społecznego i politycznego, wiedząc jednocześnie, że żadna zmiana nie dotyka "ponadhistorycznych" konstant ludzkiej egzystencji i społecznego porządku. W naturze konserwatyzmu nie leży wcale "mroczność" i "pesymizm", które niekiedy mu się zarzuca, nawet największe zniszczenia w historii interpretuje bowiem jako rytm pór roku w ramach większego cyklu ponownych narodzin i odnowień, a z przeszłości przejmuje nie popiół, lecz ogień."

To, że intelektualna prawica w Polsce jest szerokim środowiskiem, a nie monolitem, nie jest problemem, jak zdaje się to sugerować Agnieszka Rybak w „Rzeczpospolitej”, ale wartością. Dzięki różnorodności tytułów, konserwatywny czytelnik może bowiem bez trudu wybrać wydawnictwo, które najbardziej mu odpowiada. Może też wybrać

wszystkie, i dzięki nim co miesiąc lub co kwartał znajdować nowe inspiracje dla budowy swojego wewnętrznego, intelektualnego świata, swojej prywatnej sfery wolności, której nie będą mu w stanie odebrać nawet najbardziej burzliwe polityczne przemiany. A to sprawia, że brak realnej perspektywy na zwycięstwo polityczne prawicy w Polsce tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Jak napisał niegdyś Andriej Sacharow, "każdy prawdziwy inteligent zajmuje się tylko jednym - "buduje ideał".

Przemysław Pięta

Paweł Rojek: Lisy czy jeże?

Mateusz Matyszkowicz: Wystarczy się trochę polubić

Marta Kwaśnicka: Kulturę oddaliśmy sami

Łukasz Warzecha: Stwórzmy konserwatywny hub